

Lubbe, Andrzej

W związku z recenzją Jana Kieniewicza

Przegląd Historyczny 76/3, 645-650

1985

Artykuł umieszczony jest w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych, tworzonej przez Muzeum Historii Polski w Warszawie w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego.

Artykuł został opracowany do udostępnienia w Internecie dzięki wsparciu Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego w ramach dofinansowania działalności upowszechniającej naukę.

W ZWIĄZKU Z RECENZJĄ JANA KIENIEWICZA

W zeszycie 4 tomu LXXIV „Przeglądu Historycznego” z 1983 r. ukazało się omówienie mojej książki „Imperium europejskie? Ekspansja Europy a powstanie gospodarki światowej” pióra Jana Kieniewicza. Omówienie to wymaga komentarza.

Jest obowiązkiem i przywilejem czytelnika dokonywanie oceny całości książki jak również poszczególnych tez w niej zawartych. Jednakże odmienne bądź krytyczne stanowisko dyskutanta powinno być, moim zdaniem, przynajmniej w sposób ogólny uzasadnione. Szczególnie w tych przypadkach, w których przedmiotem kontrowersji są tezy sporne i z natury rzeczy trudne do jednoznacznej oceny.

Kieniewicz rozpoczyna od szerokiego omówienia zagadnienia, które nie tylko leży poza głównym nurtem rozważań autora książki, ale także dla zrozumienia i oceny tez w niej zawartych nie ma większego znaczenia. Chodzi o rozumienie i zakres pojęcia „gospodarka światowa”. We wstępie Kieniewicz stwierdza, że chociaż powołuję się w tym względzie na pracę B. Kamińskiego i M. Okólskiego („System gospodarki światowej”, 1978) moje ujęcie gospodarki światowej jest inne, nie jest tak „systemowe”. Następuje długi wywód, w którym przeprowadzona zostaje przez Kieniewicza analiza treści i zakresu rozumienia pojęcia „gospodarka światowa” w różnych językach i przez różnych autorów. Konkluzja jest zresztą raczej negatywna — w żadnym „światowym” języku (może poza niemieckim) rozróżnienie pojęć „gospodarka światowa” i „światowy system gospodarczy”, traktowany jako część systemu globalnego, nie jest precyzyjne. Dlaczego więc Kieniewicz jest nie tylko zwolennikiem podtrzymywania tego podziału, ale także proponuje wprowadzenie, jak sam to określa, „nowotworów językowych” w rodzaju „świat-system” i „gospodarka-świat”?

We wstępie do książki stwierdzam wyraźnie, że „takie pojęcia jak system gospodarczy i gospodarka światowa są używane zgodnie z określeniami przyjętymi w pracy B. Kamińskiego i M. Okólskiego”, („Imperium europejskie”, s. 7). I tylko tyle. Nigdzie nie twierdzę, że moje ujęcie jest również „systemowe” jako ujęcie B. Kamińskiego i M. Okólskiego. Jest to problem definicji a nie szerszej podstawy metodologicznej. Kamiński i Okólski określają gospodarkę światową jako „zbiór organizacji gospodarczych — na obszarze całego świata” („System gospodarki światowej”, s. 115). Nigdzie nie używają określenia „światowa” w odniesieniu do regionów lub części systemu globalnego. Konsekwentnie używam tej samej terminologii. Nigdzie nie używam określeń w rodzaju „europejska gospodarka światowa” (podkreślenie moje — AL). Albo „europejska” albo „światowa”. Dlaczego zamiast określenia „europejski system gospodarczy” używać „nowotworu językowego” w rodzaju „europejski świat-system”?

Kieniewicz zdaje się sugerować, że za różnicami terminologicznymi kryją się głębsze implikacje i założenia metodologiczne. Nie wyjaśnia jednak jakie. Stwierdza jedynie, że moje ujęcie świadczy (?) o przyjęciu założenia o „jedności świata i linearności zachodzących w nim procesów rozwojowych” (s. 751 omówienia). Czy oznacza to, że przyjęcie określeń w rodzaju „europejski świat-system” oznacza przyjęcia założenia o „niejednorodności” świata i „nielinearności” zachodzących w nim procesów rozwojowych?

Wszystko to ma raczej niewielki związek z omawianą książką. Nie wiem, co Kieniewicz rozumie przez linearność rozwoju, a przede wszystkim „jedność świata”. Można się jedynie domyślać, że „linearność procesów rozwojowych” oznacza

dla Kieniewicza przyjęcie założenia o ciągłości procesu powstawania gospodarki światowej (zapoczątkowanego przez Europę) oraz stałość, niezmiennosc reakcji państw na tę ekspansję (s. 754 n.). Jeżeli tak, to nie są to tezy mojej książki. Stwierdzam wyraźnie, że motywy i metody ekspansji europejskiej były w różnych epokach i różnych regionach różne, a jednym z zasadniczych warunków sukcesu lub niepowodzenia na polu gospodarczym były możliwości adaptacyjne danego państwa lub regionu. Nie ma to nic wspólnego ani z „niezmiennością reakcji” ani z założeniem o „jednotorowości procesów rozwoju”. Jedność świata jest w pewnym zakresie dosyć oczywista, przy innych założeniach jest absurdem. Generalny atak na pojęcie „jedności świata” może być ważkim argumentem, pod warunkiem, że nie jest to atak gołosłowny.

Przyjmuję zarzut, że nie sprecyzowałem różnic występujących pomiędzy moim i I. Wallersteina rozumieniem pojęć peryferie-półperyferie (semiperyferie). Może to prowadzić do nieporozumień, ponieważ ujęcie I. Wallersteina jest nie tylko wcześniejsze, ale także oczywiście znacznie lepiej znane. Podałem jednak własną, może dość ogólną, ale dla celów stawianych sobie w omawianej pracy zupełnie wystarczającą definicję peryferii i semiperyferii. Przyjmuję, że semiperyferie to obszary znajdujące się w układzie współzależności rozwojowej z centrum. Układ centrum-semiperyferie tworzy system gospodarczy będący podstawą mojej analizy („europejski”, następnie „atlantycki” i „światowy” system gospodarczy). Peryferie to obszary, które chociaż mogą utrzymywać kontakty gospodarcze z centrum, nie znajdują się w sytuacji współzależności rozwojowej (na przykład Indie do podboju brytyjskiego). Twierdzenie, że koncepcja I. Wallersteina tworzy „pewien porządek globalny” świadczy o preferencjach Kieniewicza, zarzut, że nie przyjmuję koncepcji Wallersteina ani jej nie odrzucam, świadczy o niedokładnym przeczytaniu omawianej książki.

Zgodnie ze starym porzekadłem trudno jest dyskutować z osobistymi preferencjami. Przykłady, które podaje Kieniewicz na poparcie swego twierdzenia świadczą o tym dowodnie. Stwierdza, że traktuję „badany system z perspektywy rynkowej określając pozycję uczestników perspektywą zmian spowodowanych przez kontakt z centrum”, natomiast u Wallersteina podstawowe znaczenie ma określenie kapitalistycznego charakteru sposobu produkcji w skali gospodarki-świata. Stąd, stwierdza Kieniewicz, w europejskiej gospodarce-świecie mieści się logicznie i Anglia i Meksyk.

Jeżeli decyduje charakter sposobu produkcji to przyznam się, że nie przekonały mnie wywody Wallersteina — logika umieszczenia razem i Anglii, i Meksyku, na przykład w XVIII wieku, jest nieco naciągana. Przy odpowiednim doborze założeń każdy nonsens może być „logiczny”. Nie chodzi w tym wypadku o poglądy Wallersteina a o uwagę Kieniewicza. W zakresie, w jakim jestem w stanie ją zrozumieć, jest ona myląca. Ujęcie Wallersteina jest w pewnym sensie również „rynkowe”. Podstawą podziału na centrum i peryferie jest przecież specjalizacja produkcji — ich pozycja nie jest określana „innością” czy identycznością sposobu produkcji a miejscem, jakie zajmują w międzynarodowym podziale pracy. Semiperyferie stanowiąc ogniwem pośrednie w podstawowej opozycji centrum-peryferie są także określane z „perspektywy rynkowej przez pozycję uczestników w kontaktach z centrum”. Mogą też zmieniać swój status — „awans” lub „degradacja” także dla Wallersteina jest zjawiskiem naturalnym. Na przykład „ekonomicznie silniejsze państwa Ameryki Łacińskiej” zalicza Wallerstein do semiperyferii („The Capitalist World-Economy”, 1980, s. 100).

W przeciwieństwie do Kieniewicza nie jestem przekonany do logiki i porządku globalnego wprowadzonego przez Wallersteina. Jest on w zbyt dużym stopniu oparty na kryteriach zupełnie dowolnych, nie poddających się weryfikacji. Nadto

są to kryteria niejednorodne. Kryteria wyodrębnienia centrum i peryferii są w zasadzie ekonomiczne, semiperyferii — polityczne. Na podstawie kryteriów ekonomicznych semiperyferie należy zaliczyć albo do centrum albo do peryferii. Zezwała to na zupełną swobodę interpretacyjną. Dlaczego na przykład Wallerstein uważa, że w XIX wieku zarówno USA jak i Niemcy, Belgia i Francja należały do semiperyferii, chociaż ich miejsce w światowej siatce powiązań handlowych, kapitałowych i politycznych było zupełnie inne? Inna była też struktura produkcji i handlu zagranicznego. Nawet jeżeli rozpatrywać będziemy miejsce, jakie dany kraj zajmuje w relacji do „podstawowej opozycji centrum-peryferie”, pozycje na przykład Francji i USA w XIX wieku wydają się być zupełnie odmienne.

Uwagi odnoszące się do zasadności podziałów i znaczenia poszczególnych określeń prowokują do polemiki, poglądy Kieniewicza na kluczowy problem rozwoju gospodarczego wywołują zdziwienie.

Stanowisko Kieniewicza w tej sprawie jest jednoznaczne i, oględnie mówiąc, dosyć katagoryczne. Stanowi jednocześnie centralny punkt krytyki poglądów wyłożonych w mojej książce. Zacofanie, stwierdza Kieniewicz, jest następstwem zależności. Nie ma zacofania bez zależności od centrum. „Powstanie przemysłu, burżuazji, klasy robotniczej itp. to przecież składowe elementy zależności” (s. 754). Nie ma przy tym alternatywy — kontakty z centrum muszą prowadzić do zależności i zacofania. Przeoczenie tych faktów ma stanowić zasadniczą słabość omawianej książki.

Nie zamierzam prowadzić merytorycznej dyskusji z tymi poglądami. Jest to powtórzenie też skrajnej wersji teorii dependencji, też wielokrotnie i, moim zdaniem, zasadnie krytykowanych. Moje zdziwienie wywołuje nie tyle samo powstanie problemu co pewność siebie, z jaką Kieniewicz skrajne, bardzo dyskusyjne poglądy przedstawia jako obowiązujące, jedynie słuszne. W ramach własnych, dość arbitralnych założeń jest to teoria dosyć ciekawa, ale przede wszystkim nośna politycznie. Dla wprowadzenia w przedmiot dyskusji postawię tylko kilka pytań (abstrahując od poważniejszych problemów natury teoretycznej). Jeżeli powstanie przemysłu, burżuazji, klasy robotniczej itp. jest oznaką zacofania, to czy oznaką rozwoju jest „odprzemysłowienie”, eliminacja burżuazji i klasy robotniczej? Co jest więc rozwojem? Jeżeli związki z centrum prowadzą do zacofania, to czy rozwój możliwy jest tylko w warunkach autarkii? Jeżeli tak, to jakie przykłady może podać Kieniewicz na poparcie tej teorii? Jeżeli nie, to jaka jest alternatywa? Jak z tej perspektywy można ocenić drogę rozwoju (zacofania?) wszystkich państw rozwiniętych gospodarczo (dla przypomnienia — USA, Francja, Niemcy to jeszcze w XIX wieku nie centrum a semiperyferie). Bez wątplenia Korea Płd. czy Tajwan (poprzestając na tym przykładzie) jest bardziej „zależna” od centrum niż przykład Nepal. Czy oznacza to, że Nepal jest bardziej „rozwinięty”? A może mniej „zacofany”?

Swoje krytyczne uwagi Kieniewicz formułuje tak, jak gdyby istniał nowy, „nieeuropejski” a nawet „antyeuropejski” model, „paradygmat rozwoju”. Tymczasem także w krajach nie należących do cywilizacji europejskiej, jeżeli mówi się i pisze o rozwoju, to wyłącznie w ramach założeń „paradygmatu europejskiego”. Nie twierdzą, że jest to zjawisko pozytywne. Można to uznać za pewną formę imperializmu kulturowego. Ale fakt pozostaje. Nawet jednak przyjęcie „europejskiego paradygmatu rozwoju” nie oznacza, że niezbędne jest powtórzenie europejskiego modelu dojścia do stanu rozwoju gospodarczego, skopiowania historycznego procesu rozwoju gospodarczego centrum. Teorie takie oczywiście istnieją, ale nie są powszechnie akceptowane nawet w Europie. Stwierdzam, sądząc dostatecznie wyraźnie, że dojście to musi być zróżnicowane. Stąd tak duże znaczenie przypisuję procesowi adaptacji, będącemu zaprzeczeniem prostej imitacji. Dotyczy to również

oceny stanu, który określa się najczęściej jako „osiągnięcie wysokiego lub średniego poziomu rozwoju gospodarczego”. Poza kilkoma wskaźnikami, takimi jak poziom dochodu narodowego *per capita*, długość życia, poziom wykształcenia lub stan żywienia wysokość zdecydowanej większości wskaźników, nie mówiąc już o systemie wartości nawet w obrębie cywilizacji europejskiej, wykazuje znaczne zróżnicowanie. Na marginesie — nawet „łagodna” wersja teorii dependencji stwierdza, że rozwój polega na rozwoju sił wytwórczych, uprzemysłowieniu i powstaniu klasy robotniczej. Tyle tylko, że w konkretnej sytuacji niektórych krajów zmiany te oceniane są negatywnie.

Nie wystarczy mieć negatywny lub pobłażliwy stosunek do istniejących teorii rozwoju gospodarczego. Problem polega na przedstawieniu alternatywy. Propozycje Kieniewicza w tym zakresie wydają się mało zachęcające. Jak na przykład należy rozumieć następującą uwagę: „cios w produkcję »nie rolniczą« nastąpił o wiele wcześniej. Istotne znaczenie miał fakt, że działania brytyjskie od końca XVIII wieku spowodowały wzmoczone lokowanie zasobów finansowych w ziemi — Inwestycje przemysłowe pozostawały marginesem. Pytanie, czy Indie miały szansę uprzemysłowienia wydaje się mało istotne — Istotny był efekt, w postaci sparylizowania dotąd funkcjonującego systemu gospodarczego” (s. 754). Powyższe uwagi sugerują, że już w końcu XVIII wieku istniała w Indiach alternatywa — lokaty, w ziemię czy lokaty w przemyśle. Jaki „przemysł” ma na myśli Kieniewicz? Kilka zdań wcześniej Kieniewicz zarzucał mi, że moja polemika z tezą o „odprzemysłowieniu” Indii przez Wielką Brytanię jest spóźniona (choć w „Historii Indii” wydanej w 1980 r. sam stawia tę tezę). Jak jest w końcu z tym „odprzemysłowieniem”? Skąd ta pewność, że w Indiach osiemnastowiecznych istniał „przemysł”, problem „inwestycji przemysłowych”, że gdyby nie działania Brytyjczyków to strumień inwestycji skierowałby się w produkcję „nie rolniczą”?

Kilku uwag Kieniewicza w ogóle nie rozumiem. Komentując moją uwagę, że rzeczywisty okres dominacji Anglii w Indiach datuje się dopiero od podboju Bengalu stwierdza, że „jest to niewątpliwie prawda, ale dominacje te [podkreślenie moje — A.L.] miały inny sens i zakres”. Jeżeli mam rację, że przed podbojem trudno jest mówić o dominacji Anglii (ze względu na wybitnie lądowy, niehandlowy charakter imperium indyjskiego, poza tym Europejczycy raczej starali się wejść do lukratywnego handlu azjatyckiego niż go niszczyli) to o jakie „dominacje” tu chodzi? Następnie Kieniewicz stwierdza, że „przebieg tej (?) zmiany nie został nakreślony”. Tymczasem stwierdzam wyraźnie, że z ekonomicznego punktu widzenia ustalenie daty rozpoczęcia się okresu dominacji brytyjskiej nie następuje trudności — raptownie ustaje transfer srebra z Europy do Indii.

Referując moje poglądy na motywy ekspansji w okresie „nowego imperializmu” Kieniewicz stwierdza, że wydają się podzielać poglądy lewicy szukającej sposobu na pogodzenie tez Lenina z koncepcjami Róży Luksemburg. Potwierdzeniem tej tezy ma być moja opinia, że kolonie nie były uprzywilejowanym miejscem dla lokat kapitału. Z całą pewnością nie jest to potwierdzenie tez szeroko rozumianej lewicy (choć oczywiście i tu są wyjątki). Lewica, szczególnie w krajach latynoskich, poszła raczej za R. Luksemburg. Decydujące znaczenie kolonii i eksportu kapitału do obszarów zależnych (formalnie i nieformalnie — jak w teorii dependencji) jest dla niej nadal prawdą oczywistą. Nie podzielam tej opinii. Ale w rozdziale o imperializmie nie chodziło mi wcale o pogodzenie ze sobą różnych teorii czy też o sformułowanie własnej teorii a jedynie o wykazanie, że teorie imperializmu nigdy nie były tak jednostronnie „ekonomiczne”, jak to się często obecnie przedstawia. Twórcy tych teorii po prostu znali realia.

Następna uwaga Kieniewicza wymaga przytoczenia *in extenso*: „autor referuje tu rezultaty wielu prac szczegółowych dotyczących gospodarki wieku XIX, aczkol-

wiek w znakomitej większości przyjmuje je z opracowania „Colonialism in Africa 1870—1960”. Siabiej jest więc przedstawiona Azja i Ameryka Łacińska, co bardzo osłabia rozumowanie” [podkreślenia moje — A. L.]. Są to zarzuty poważne. Zadałem więc sobie trud i przeliczyłem przypisy odnoszące się do wskazanego rozdziału. Na 67 przypisów artykuły pochodzące z opracowania „Colonialism in Africa” występują 13 razy (mogłem się pomylić o 2—3 pozycje). Albo Kieniewicz czytał co trzecią stronę albo sformułował zupełnie nową definicję „znakomitej większości”. Siabsze przedstawienie Azji i Ameryki Łacińskiej może być zrozumiałe — „nowy imperializm” to przede wszystkim „rozdrapywanie” Afryki. W następnym rozdziale poświęconym międzynarodowemu podziałowi pracy w tym okresie Azja i Ameryka Łacińska zajmuje z kolei więcej miejsca — stosownie do roli tych kontynentów w gospodarce światowej. Nie spieram się z Kieniewiczem — trudno jest odparować zarzut, że coś jest „siabiej” opracowane. Sądzę, że nawet gdyby Kieniewicz miał rację, nie musi to mieć większego znaczenia. W związku z tym uważam, że ostateczna opinia jest pozbawiona uzasadnienia.

Nie zgadzam się z opinią, że słabością książki jest usiłowanie pogodzenia rozumowania w kategoriach ekonomicznych i politycznych. Uwzględnienie zarówno czynników ekonomicznych jak i politycznych moim zdaniem ułatwia a nawet wręcz umożliwia a nie uniemożliwia, jak twierdzi Kieniewicz, uwzględnienie zjawiska kapitalizmu „ponadnarodowego” jak i układu relacji między państwami. Można krytykować wykonanie, ale samo ujęcie wydaje się prawidłowe.

Na koniec kilka uwag na temat literatury. Nie bronię się przed zarzutem, że szczególnie dużo zawdzięczam Fieldhouse'owi. Nie jest to chyba najgorszy nauczyciel. Osobiście wprawdzie sądziłem, że na przykład w kwestii „ciągłości” lub „nieciągłości” ekspansji bliższy jestem poglądom Platta, a uwarunkowań ekspansji — Landesa, ale nie ma to większego znaczenia. Mam jednak wątpliwości, czy Fieldhouse'a można uznać za twórcę lub nawet głównego przedstawiciela „bardziej zniuansowanej wersji imperializmu usiłującej znaleźć równowagę między „zyskami i stratami obu stron”. Nie mogłem również uwzględnić pracy Fieldhouse'a „Colonialism 1870—1945” ponieważ ukazała się ona w USA wtedy, kiedy moja książka była już w drukarni. Nie znam pracy na temat imperializmu, która oparta by była na kompletnej literaturze. Jak stwierdził Thornton, jeden z większych autorytetów w tej dziedzinie, wyczerpująca bibliografia imperializmu zajęłaby prawdopodobnie trzy tomy, bibliografia historii europejskich imperiów mogłaby zająć tomów sześć. Stąd każda bibliografia będzie niepełna, bądź „selektywna”. W książce podałem w zasadzie wyłącznie pozycje, na które powołuję się w tekście. Nie rozumiem więc niepokoju, jaki ogarnął Kieniewicza z powodu nieuwzględnienia kilku autorów. Nazwisko A. G. Franka występuje na drugiej stronie tekstu. Cała książka jest pośrednio polemiką z jego tezami. W pewnym sensie dotyczy to również poglądów Topolskiego i Kuli. O ile wiem K. E. Boulding jest współautorem jednego artykułu łączącego się bezpośrednio z tematem omawianej książki. W większości prac poświęconych imperializmowi i ekspansji europejskiej ani Boulding, ani Bairoch nie występują. Sądzę, że Prebisha, Furtado, Ferrera i Marqueza można zaliczyć do szkoły latynoamerykańskiej. Prebisch jest chyba nawet jej twórcą. Wskazana przez Kieniewicza książka Louisa jest wyborem artykułów w większości niewątpliwie ciekawych, ale publikowanych już wcześniej na bardzo specyficzny, wąski temat — kontrowersji, jakie wywołały poglądy Robinsona i Gallaghery. Jak stwierdził sam Kieniewicz fragment o imperializmie w mojej książce ma charakter „użytkowy”. Gdybym chciał szerzej uwzględnić spory w rodzaju tych, jakie wywołały poglądy Robinsona i Gallaghery, musiałbym napisać nową książkę.

Część uwag i zastrzeżeń Kieniewicza jest następstwem przyjęcia nieco innej optyki, co wynika przede wszystkim z różnic „zawodowych”. Uważam to za zjawisko naturalne. Moje zastrzeżenia kierują się przede wszystkim przeciwko przyjętemu przez Kieniewicza pojęciu rozwoju. A raczej jego braku. W tym zakresie jego krytykę uważam za całkowicie chybioną.

Andrzej Lubbe

W ODPOWIEDZI ANDRZEJOWI LUBBEMU

Zachęcony do zajęcia stanowiska wobec listu A. Lubbego mógłbym powiedzieć, że obfitość przytoczonych argumentów wymagałaby raczej kilku obszernych rozpraw. Niektóre z poruszonych zagadnień zasługują na gruntowne potraktowanie i mam nadzieję, że tematyka ekspansji i dróg rozwoju różnych systemów społecznych znajdzie miejsce na łamach „Przeglądu”. W kluczowej kwestii rozwoju wypowiedziałem się już obszerniej (PH t. LXXI, 1980, z. 4), na temat ekspansji spodziewam się polemiki po ukazaniu się mojej książki o kolonializmie („Czytelnik”) napisanej jeszcze w 1981 r. Tu więc proszę tylko o zamieszczenie paru wyjaśnień.

Reprezentuję rzeczywiście odmienne poglądy na temat rozwoju, ale krytyka pod adresem książki Lubbego nie wynika z przekonania o słuszności wyłącznie własnych sądów. Usiłowałem dyskutować z autorem w przyjętej przez niego konwencji wykazując niedostatki argumentacji. Widocznie zrobiłem to nie dość precyzyjnie. Wyjaśniam więc, że to co można nazywać dominacją Anglii nad podbitymi Indiami w wieku XIX nie było kontynuacją relacji istniejących w wieku XVII. Niezależnie od bilansów handlowych, które można porównywać, rzeczywistości społeczno-gospodarcze po obu stronach uległy takim zmianom, że dla wzajemnych relacji potrzebne są odrębne określenia.

Lubbe rzeczywiście nie używa określenia „europejska gospodarka światowa”, ale na s. 16 postawił w moim przekonaniu znak równania między „systemem gospodarki europejskiej” a braudelowską *économie-monde européenne*. Uważam nadal za niezbędne wypracowanie precyzyjnych odpowiedników obcej terminologii niezależnie od tego czy podzielamy poglądy Wallersteina. Sam zresztą zgrzeszyłem nie precyzując pojęcia zależności i doczekałem się sklasyfikowania wśród przedstawicieli skrajnej wersji teorii zależności. Ocena ta wydaje mi się arbitralna, ale wyjaśnienie stanowiska odkładam do lepszej okazji.

Przykładem niezrozumienia intencji i być może dowodem nie dość klarownej argumentacji jest sprawa „rozwoju Indii”. Moje uwagi dotyczyły konkretnej sytuacji w wieku XIX, a nie wszelkich kontaktów z Centrum. Z moich stwierdzeń nie wynika, by w jakichkolwiek warunkach rozwój (tj. wzrost, postęp) wymagał odprzemysłowienia, eliminacji burżuazji i klasy robotniczej. Zajmuję się procesami, które miały miejsce, stwierdzam więc, że w Indiach kształtowanie się przemysłu i związanych z tym grup społecznych należało do procesu uzależniania. Nie powinno się stąd wyprowadzać wniosku, że rozwój (w sensie przyjmowanym przez Lubbego) jest możliwy tylko w warunkach autarkii. Uważam zacofanie za stan wykraczający poza niezdolność do samodzielnych wyborów gospodarczych, tym bardziej nie widzę sensowności porównań opartych np. o poziom dochodu narodowego na głowę. Lubbe wydaje się domagać wskazania, co ma być przeciwnieństwem zacofania. Nie mogę odpowiedzieć, bo w moim przekonaniu w krajach zacofanych nie istniała alternatywa związana tylko z czynnikami endogennymi. Być może czas pokaże, czy społeczeństwa zacofane są w stanie wrócić lub dojść